

Bogusław Schaeffer***Nasz były dwudziesty wiek*****I**

Moje refleksje na temat muzyki XX wieku zamierzałem pisać już przed rokiem, ale powszechnie zwrócono nam wszystkim uwagę, że ten wiek się jeszcze nie skończył, że jeszcze nie czas na jego rekapitulację, więc odczekałem spokojnie tych kilka miesięcy, gdyż mam poczucie, że teraz ten dwudziesty wiek mamy już za sobą, co więcej – jest on już przeszłością.

W sztuce, a więc i w muzyce przełom wieku nic nie znaczy: tylko raz jeden, na początku VII wieku, możemy mówić o nowej erze, lecz na przełomie pozostałych stuleci nie zauważymy większych zmian; życie – a więc i życie artystyczne – idzie dalej, nie respektując dyscypliny kalendarza, stuleci, lat, miesięcy, dni. Istnieje takie pojęcie – bohater dnia. Gdyby dotyczyło ono muzyki, zrobiłoby się miejsce dla wielu kompozytorów, wykonawców, muzykologów, krytyków muzycznych, biografów, teoretyków i kogo tam jeszcze. Każdy, kto cokolwiek miał do czynienia z muzyką, miałby swój dzień. Uszczęśliwieni protokularnie byłiby wszyscy, szczęśliwy nie byłby nikt, a już najbardziej nieszczęśliwi byłiby wybitni kompozytorzy, którym w końcu należy się najwięcej. Dlaczego o tym mówię (recte: piszę)? Bo tylko oni, twórcy, decydują o przemianach w muzyce. A łatwo się o tym przekonać, wertując choćby wielkie muzyczne encyklopedie: nawet o samym Karajanie będzie tam o wiele mniej niż o kompozytorach, o autorach muzyki. Jest jasne, że o muzyce najwięcej mówią dzieła, to w nich muzyka przemienia się stale i domaga się rewizji naszych poglądów. Patrząc na muzykę jakiegoś wieku – widzimy największe osiągnięcie danego czasu. Ale nawet ta perspektywa może się zmieniać. To, co budziło entuzjazm (lub odrazę) jawi się nam dziś w nowym, innym

światle. Każdy z nas intensywniej zajmujących się muzyką doświadczył tego w swoim życiu. Kiedyś ten czy ów (nie muszę to być ja) dałby nie wiem co, by zdobyć nową partyturę Strawińskiego, a dziś nie widzi w niej nic szczególnego. Sprawa jest prosta: rzeczywistość nigdy nie będzie odpowiadała naszym wyobrażeniom. Jak taką rzecz wyjaśnić? Może istnieje wiele hipotez: może niepotrzebnie każde nowe dzieło jawiło się nam jako niezwykle, a nie było, może zbyt mocno ufaliśmy w geniusz autora *Sacre*, a może mieliśmy pecha, gdyż głośno było o utworze przeciętnym, któremu autor nie poświęcił całej swojej uwagi (bo jest to i tak niemożliwe), może wreszcie – i tu dotykamy bardzo newralgicznego punktu – ideał nowej muzyki zmienił się...

I temu właśnie problemowi chciałbym poświęcić najwięcej uwagi. Muzyka zmienia się stale. Może nie jesteśmy tego w pełni świadomi, może brak nam danych do pełniejszej orientacji w momencie, gdy chcemy coś powiedzieć, ustalić, zdefiniować – ale ona się zmienia. Zmienia się też nasz pogląd na wszystko lub na większość zagadnień z nią związanych. Przez pierwszych 30 lat mojej działalności miałem okazję stwierdzić, jak bardzo zmieniają się poglądy kompozytorów starszych ode mnie, a potem młodszych – choćby na osławioną dekadę. Najpierw słyszałem tylko słowa pogardy, zawsze poparte – jak się okazuje – nie umotywowanym poczuciem wyższości, a potem – z biegiem lat – coraz większe zainteresowanie tą techniką, był to oczywiście szacunek dla mody (istnieje coś takiego). I tak było z wieloma opiniami, sądami i wyobrażeniami. Tu nic nie było pewne, nic nie było stałe, nic nie było niepodważalne.

Wobec sztuki, a zwłaszcza wobec muzyki musimy być pełni pokory i rezerwy. Wybitny filozof, Roman Ingarden, twierdził – odnosiło się to do muzyki, którą również lubił się zajmować – że wszystko można w muzyce, w sztuce autonomicznej podważyć, ale jedno jest pewne: muzyka musi mieć swój początek i koniec. Tymczasem w tym samym Krakowie od paru lat zamieszkały tu kompozytor, pan Sch., napisał już był /ależ to było dawno – dlatego ta

forma gramatyczna! / kilka utworów, które nie miały początku i końca, bo ujęte były w tzw. później formie otwartej /najbardziej znany jest utwór *Non stop*/. Nie może więc nikt utrzymywać, że w muzyce coś jest pewne, bo zawsze może się znaleźć ktoś, kto to – bez specjalnego wysiłku – podważy.

Muzyka współczesna – to muzyka skomponowana w naszych czasach, teraz, dziś. Wspaniałomyślnie rozszerzamy to pojęcie na czas nieco dłuższy: utwór sprzed paru czy kilkunastu lat też jest współczesny. Chociaż nie! – znam takich paru ważnych ludzi, którzy życzą sobie, by utwór, o który proszą, był świeżej daty, najlepiej z tego roku /nawet jak mamy miesiąc luty czy marzec/. Są to naiwniacy, którzy myślą, że data może stanowić o nowości, ba, o nowatorstwie kompozycji. Mylą się i to grubo: świeża bułka nie może być nieświeża, ale świeży utwór – jak najbardziej! Składają się na to różne przyczyny: kompozytor nie ma pomysłu, kompozytor został źle, archaicznie „przeszkolony”, kompozytorowi nie chciało się zapoznać z nowymi możliwościami muzyki, a wreszcie: naszemu twórcy muzyki współczesnej nic nie zaimponuje.

Uważam, że nowa muzyka pojawia się wtedy, gdy kompozytor ma jakiś pomysł, nie pomysł powtórzony, jak to się nagminnie dzieje w filmie. Tego zdania byli też bliscy mi kompozytorzy, właściwie moi przyjaciele – Haubenstock, Nono, Serocki. Najlepiej, by pomysł ten obejmował nie jakiś jeden zakres muzyki, lecz kilka; jeszcze lepiej, jeśli te pomysły w różnych zakresach są ze sobą w danym utworze zintegrowane. Napisanie jeszcze jednego utworu, który jest podobny do innych, właściwie nie jest godny prawdziwego kompozytora. Mówię to całkiem serio. Zapomina pan o Mozarcie i o wielu innych, powie ktoś. Mozart, Beethoven, Chopin, Liszt, a nawet Paganini i Puccini – wszyscy byli na swój sposób i w określonym zakresie pomysłowi. Tyle tylko, że w ich czasach pomysłowość musiała być odpowiednio ograniczona. Była to pomysłowość różna od tej, którą mamy dziś na myśli.

Mam taki dość osobliwy zwyczaj, który zawsze niepokoi moich studentów. Kiedy ktoś w Salzburgu czy w Krakowie przedstawia mi gotową kompozycję, np. pierwszą część symfonii lub kwartetu, po przejrzeniu muzyki piszę mu /czy jej/ dwie uwagi, wyrażone w cyfrach, np. 1905 i 8.000. Gdy ktoś spotyka się z czymś takim po raz pierwszy – patrzy na mnie długo i badawczo, a ja pozwalam sobie na dłuższą, wymowną pauzę. A potem wyjaśniam: ten kawałek muzyki mógł przeciętnie uzdolniony kompozytor napisać już w roku 1905. Przerwa. Dzisiaj – podkreślam to z naciskiem – około 8 tysięcy (jeśli nie więcej...) kompozytorów na świecie mogłoby napisać taką muzykę; może niektórym zabrałoby to więcej czasu, bo w naszej wspaniałej muzyce mamy do czynienia z różnymi egzemplarzami, ale w końcu byłiby w stanie napisać coś takiego. A dzisiaj mamy rok 1980 /czy 2001/, a ja nie mam zamiaru kształcić proletariatu kompozytorskiego! I student czy studentka zmienia zdanie o sobie lub – odchodzi. Współczesność zobowiązuje. Oczywiście, mój sposób zwrócenia uwagi adeptowi kompozycji na czas, w jakim żyje i na poziom rzemiosła, stosuję nie tak często, gdyż przeważnie nie ma takiej potrzeby.

Wydawcy muzyczni pozbyli się dziś nie tylko wstydu i honoru, ale i lektorów. (Jednym z nich był wspomniany przeze mnie, arcyinteligentny kompozytor Roman Haubenstock-Ramati.) Kto wie, czy nie należałoby kiedyś, kiedy sprawy muzyki polepszą się /bo gorzej być nie może/, wprowadzić swoją metodę do oceny najpiękniejszej ze sztuk.